

Czerwec Paweł

Prawdziwa opowieść o prawdziwych barbarzyńcach

Z „Science Fiction”

1.

Dwaj jeźdźcy zatrzymali się na wzgórzu, łagodnie opadającym ku rozległej zielonej równinie. Falowała na niej wysoka, zielona trawa, falowały na niej kolorowe kwiaty i tylko ciemny kształt, który był źródłem całego tego falowania, poruszał się nie jak fala, a jak bełt wystrzelony z kuszy – prosto, wściekle szybko i uparcie.

– Kurwa – odezwał się wysoki, czarnowłosy i przystojny jak sam diabeł jeździec w czarnej skórzanej kurtce. Dosiadał równie czarnego ogiera i tak samo czarne miał oczy, i głos, i duszę. A także przewidywania na najbliższą przyszłość. Dalszej nie przewidywał w ogóle.

– Ja pierdołę – zgodził się jego towarzysz, nieco niższy, o trochę jaśniejszych włosach, lecz nie głósie i spojrzeniu. Poglądy na życie miał jeszcze mroczniejsze niż pierwszy z mężczyzn. Jego koń był kary, zaś szaty burzyły nastrój otoczenia jaskrawą czerwienią. Jeśli uznać go za przystojnego, to w jakiś trudny do zauważenia i zdefiniowania sposób. – Ale zapierdala!

Nie mieli złudzeń co do celu podróży nieznanego. Cokolwiek to było, gnało prosto na nich.

Czarnowłosy sięgnął po łuk. Nałożył nań strzałę, naciągnął, wystrzelił, trafił. Ich uszu dobiegło coś, co uznali za gniewne warknięcie. Tempo biegu istoty nie uległo zmianie.

– Co za chuj! – Jaśniejszy splunął na ziemię. – Ja pierdołę!

– No, ja też. Co za chuj.

– No.

Nie mieli włóczy, nie mieli pik, nic nie mieli, poza mieczami i łukami. Zsiedli z koni, ostrza wbili przed sobą w ziemię, łuki wzięli do rąk i, nie mówiąc już nic więcej, zajęli się robotą.

Stwór zdążył wbiec na szczyt wzgórza, nim padł tuż przed nimi. Plunął jeszcze krwią, warknął coś i zgasł.

– Trafiłem chuja w oko – ocenił czerwony. – Inaczej by nas chyba zajebeł, skurwiel.

– No.

Istotę można by, od biedy, wziąć za dzika. Nie istniały jednak tak ogromne, czarne dziki, których nogi kończyłyby się smoczymi pazurami. No i żaden dzik, choć to żywotne bestie, nie wbiegłby na wzgórze przyozdobiony dwunastoma strzałami powbijanymi tkwiącymi głęboko w ciele. Rzeczywiście, gdyby nie ostatnia, trzynasta, wbita w czerwone od krwi oko, walka nie skończyłaby się tak łatwo.

Mężczyźni wyjęli z trupa strzałę, głośno komentując fakt, że krew stwora zniszczyła ich ostrza, stapiając je niczym najgorętszy ogień.

– Raczej go nie zjemy, co? – zmartwił się czerwony.

– Raczej nie – mruknął czarny. – Co to, kurwa jest, Kwoka, jak myślisz?

– Jakiś popierdolony pomiot popierdolonego czarodzieja. Albo inne kurestwo.

– No, tak i ja myślę. Kurwa. Nienawidzę pierdolonych czarodziejów.

– I ja. Żywcem bym chujów popalił. Co do, kurwa, jednego.

– E, nie... – Czarny przestał na chwilę przyglądać się padlinie. – Wszystkich to nie. Takiego, na przykład, Rucka, to bym zostawił.

– Ale Rucek to nie czarodziej – zaprotestował Kwoka. – On tylko umie czarować. Ale czarodziej to on nie jest.

– Może i nie. – Wzruszył ramionami czarny. – Tak myślę, Kwoka, czyby nam się to ścierwo na co nie przydało.

– A po chuj? Ta jego jucha wszystko zeżre. Jakby my mieli flasze, to co innego. Ale bukłaki zeżre jak kurwa mać. Ty, Buhaj, ty mi powiedz, czego jakiś kutas czarodziej mógł od nas chcieć?

– Ni chuja nie wiem – zmartwił kompana Buhaj, odcinając bestii ogon na pamiątkę. – I to mnie, kurwa,

martwi.

Zmartwieni wsiedli z powrotem na konie i zjechali ze wzgórza.

I tam, na dole, znaleźli księżniczkę.

Że to księżniczka, widać było na pierwszy rzut oka. Cała aż lśniła od czegoś złotego, co rozsmarowano jej na twarzy, suknię też miała złotą, złote usta, włosy i oczy, w których nikt się nigdy nie kochał, bo nie śmiał. Tylko serce w niej nie było złote, choć na wagę złota z całą pewnością.

Siedziała pośród traw, trochę popłakiwała, trochę wiązała kwiaty w wianek i patrzyła na Kwokę i Buhaja trochę ze strachem, a trochę zuchwale.

– O szlachetni rycerze! – zawołała słodkim głosem, gdy zrozumiała nareszcie, że nie zamierzają się jej ukłonić. – Wyście to uratowali mnie przed onym potworem, który nienawiścią i żądzą swego pana dysząc, uprowadził mnie podle z pałacu! Zaprawdę, godniście wszelkiej chwały, jaka niechybnie spadnie na was, gdy tylko ojciec mój zobaczy mnie żywą. I nienaruszoną – dodała po chwili, dowodząc, iż nie jest najgłupszą z księżniczek.

Na oko mogła mieć około szesnastu lat.

Dla Buhaja – w sam raz.

– Ja pierdolę – sapnął, oblizując usta. – Ja pier...

– Nie! – uciął Kwoka. – Znaczna jest.

Buhaj posłał mu króciutkie zdziwione spojrzenie. Że niby miało mu to przeszkadzać? Znaczne mają gładszą skórę i mniej siły do wrzasku. Ot, i cała różnica.

– Wyście są, panienko – Kwoka skupił się, próbując mówić w tym dziwnym, dworskim języku – pewnikiem jaka królowna?

– Ja pierdolę, pewnikiem! – Popuścił wodze wyobraźni Buhaj. Jeszcze nigdy nie miał królowny.

– Jestem Melidranna z Borsuczej Kniei. – Księżniczka dygnęła złoto. – Córka Alandora, pana na Czarnej Pięści, księcia Barozek i Urhun i pani Orietty, jego małżonki, wiły. Porwał mnie czarny demon, sługa maga Vidoczka, który pragnął mnie od dnia moich narodzin. Jestem pewna, że ojciec mój, którego ludzie są z pewnością gdzieś w pobliżu, szukając mnie, sowicie wynagrodzi tak odważnych i szlachetnych rycerzy za to, że uratowali jego córkę i przywiedli ją do domu.

– Słyszysz, Buhaj? – Szturchnął kompana Kwoka. – Jesteśmy, kurwa, szlachetni.

– Słyszę – burknął Buhaj, rozumiejąc, iż spodziewana nagroda musi zastąpić mu książęce rozkosze.

Najwyraźniej znów miało się skończyć na księżniczkach zamtuzów. Zsiadł z konia i ukłonił się karykaturalnie. Bynajmniej nie celowo.

– Wasza książęca panno, wielceśmy radzi, mogąc pomocą swoją służyć.

A daleko do waszego zamku? – zapytał o wiele mniej skłonny do ukłonów Kwoka.

– Och, ledwie półtora dnia drogi! – zawołała z radością księżniczka. – Dzielni rycerze, który koń jest dla mnie?

2.

– Nie wierć się i przestań mi mamrotać do ucha – rozeźlił się po godzinie jazdy Kwoka.

Siedzący za nim Buhaj zmełł w ustach kolejne przekleństwo. Ostatni raz zsiadł z konia, żeby się kłaniać pierdolonej księżniczce. Ostatni, kurwa, raz.

– A kiedy zatrzymamy się na popas? – zainteresowała się księżniczka. – Bo już chyba cały dzień jedziemy! Jestem taka zmęczona! Nie macie pojęcia, zacni rycerze, jaka to udreka, być ciągle napastowaną i zmuszaną do ucieczki!

– Gdzie chcesz się zatrzymać, tutaj?! – ryknął zirytowany Buhaj i zaraz zarobił kuksańca od Kwoki. – Wasza wysokość – dodał prędko.

Istotnie, miejsce umiarkowanie sprzyjało postojom. Aby jak najszybciej dotrzeć do Czarnej Pięści, zapuścili się w podejrzanie wyglądający las, który, wedle słów księżniczki, stanowił skrót. Wlekli się w związku z tym ścieżyną tak wąską i byle jaką, że z trudem jedynie zasługującą na dumne miano traktu. Jedyne, co podobało się w tej drodze Buhajowi, to fakt, że, jego zdaniem, musieli przy niej czyhać jacyś rozbójnicy. Godzina podróży w towarzystwie księżniczki sprawiła, że Buhaj tęsknił za przyzwoitym mieczobiciem.

– Może zatrzymamy się choć na momencik? – poprosiła słodkim głosem księżniczka. – Szlachetni panowie, ja już nie mogę! Bola mnie rzeczy, o których damie mówić nie wypada. Zatrzymajmy się na chwileniuniczkę, a jeden z was, dzielni rycerze, uda się na poszukiwanie polanki na popas, a drugi

pozostanie, by mnie strzec.

Zdumiało to Kwokę, ale propozycja księżniczki spotkała się wręcz z entuzjastycznym przyjęciem Buhaja. Zatrzymali się więc, a Buhaj z uśmiechem na twarzy zapuścił się w największy gąszcz w poszukiwaniu czegoś do zamordowania. To jest, oczywiście, polanki.

Wolałby jej nigdy nie znaleźć.

* * * * *

– A czy szlachetny pan Buhaj aby nie zabłądził w tych grozą wiejących gąszczach? – zaniepokoiła się księżniczka, wedle swej miary czasu znacznie później, czyli zaledwie chwilę po tym, jak Kwoka oczyściwszy dla niej kawałek ziemi z całego robactwa, zdołał wreszcie z ulgą klapnąć na ziemię. – Bo go tak nie ma i nie ma...

Kwoka nie dziwił się jej pytaniu. Kobiety, które poznały Buhaja, zwykle martwiły się, gdy nie było go przy nich choć przez chwilę. Dziwiło to Kwokę o tyle, że Buhaj nie dbał o nie zupełnie. Bez chwili zastanowienia przerzucał się z jednej na drugą. Potem myliły mu się nagminnie imiona, a i to jedynie pod warunkiem, że jakieś zdołał zapamiętać. A każdą raczej przeklinał, niż powiedział takiej co miłego. Obserwując jego podboje miłosne, Kwoka uznał, że ładna gęba przesłania niewiastom całą resztę jestestwa, i znenawidził Stwórcę za to, że sam został obdarzony takim, a nie innym wyglądem. Starał się naprawić boski błąd, strojąc się w najbogatsze, a przynajmniej bogato wyglądające szaty. Nosił się w efekcie wyłącznie pstrokato, ponieważ jaskrawe kolory kojarzyły mu się z bogactwem i dostojnością. Różnorodność barw nie kończyła się bynajmniej na stroju, lecz dotyczyła całej kwoczej postaci. W jednym jego uchu pysznił się kolczyk rubinowy, drugie zaś zdobiła niemała perła oprawiona w fikuśny, wedle własnego projektu zrobiony, ornament. Wychodził w ten sposób Kwoka naprzeciw poczuciu humoru Stwórcy, który obdarzył go jednym okiem niebieskim, drugim zaś zielonym. Ta ciekawostka zyskiwała mu czasem zainteresowanie kobiet, pod warunkiem, że jakaś poświęciła mu tyle uwagi, by spojrzeć w oczy. Kiedy przebywał w towarzystwie Buhaja, takie przypadki należały jednak do rzadkości.

– Nie zginie – odparł więc, rozglądając się jednak uważnie po lesie, w którym coś wyraźnie go niepokoiło.

Ani on, ani Buhaj nie należeli do mistrzów intelektu, przez lata wędrówek wyrobili sobie jednak znakomite instynkty, nieodmiennie ostrzegające ich przed niebezpieczeństwem. Tym razem umysł Kwoki nie był wprawdzie ze zgrozy, nie czerwieniał od zapachu nadchodzącego rozlewu krwi, ale wypełniał go z trudem wyczuwany, jakby skrycie pałętający się po samych peryferiach umysłu, niepokój. Kwoka uspakajał sam siebie, że gdyby coś było rzeczywiście nie tak, Buhaj nigdy tak ochoczo nie skoczyłby w największą gęstwinę. Ale Kwoka nie wiedział przecież, że instynkt towarzysza przytłumiony został żądzą mordu ściśle współpracującą z pragnieniem jak najszybszego oddalenia się od księżniczki. Skupił się i spróbował nawiązać kontakt z płochliwym niepokojem. Był już tuż, tuż, już prawie chwycił go za śliski ogon, kiedy znów odezwała się księżniczka:

– Wyznać wam muszę, szlachetny rycerzu, iżem znudzona jest tym siedzeniem w ciemnym lesie okrutnie. Zaszczyćże mnie acan jakowąś grą, w jaką grywają w takich przypadkach rycerze. Mężczyzna potrzebował paru chwil, by powtórzyć sobie te słowa kilka razy w głowie i dotrzeć do ich znaczenia.

– My nie gramy, jak odpoczywamy – odpowiedział wreszcie. – Jak jest chwila odpoczynku na drodze, to jeden śpi, a drugi czuwa.

– Wcale a wcale żadnych gier nie znają dumni wojownicy? – zmartwiła się księżniczka.

Kwoka rozejrzał się odruchowo w poszukiwaniu jakichś dumnych wojowników do usieczenia. Ponieważ żadnego nie znalazł, westchnął ciężko i odparł, że owszem, dumni wojownicy grywają w kości, karty oraz kilka innych gier, o jakich nie wypada opowiadać damom, ale wyłącznie z innymi dumnymi wojownikami i najczęściej po gospodach.

Księżniczka zaszepiła się, ale tylko na chwilę.

– Ja znam grę! – oznajmiła. – Zawiąże waćpanu oczy, a waćpan będziesz musiał złapać mnie, kierując się jedynie odgłosami! To fantastyczna zabawa, w jaką po wielokroć bawiłam się z swymi dwórkami, na pewno się waćpanu spodoba! Tylko lepiej, jak gra w nią więcej osób. Ach, żeby to już pan Buhaj wrócił...!

Niech już wróci ten skurwysyn, zgodził się z księżniczką Kwoka. Niech już wróci i jedźmy, zanim ją zabiję...

I Buhaj wrócił. Nie sam.

Jak mógł się tego Kwoka spodziewać – z kobietą.
Ale – co to była za kobieta!

– O! – zawołała księżniczka. – Szlachetny pan Buhaj poratował w leśnych gąszczach babuleńkę! A czy ona ranna? Bo pan Buhaj niesie ją...

– Zamknąć się wszyscy! – warknął chudy jak pół kija od szczotki babsztyl, który rozsiadł się na plecach szlachetnego pana Buhaja, kościstą łapą obejmując go za szyję. Patrząc na babiszcze liczące na oko tak z trzysta lat, Kwoka po raz pierwszy podziękował wszystkim bogom, że to nie jego obdarowali powodzeniem u niewiast.

Na ramieniu staruchy siedziała jeszcze gorzej od niej wyglądająca sroka. Pod nogami Buhaja natomiast kręcił się, co rusz omal nie doprowadzając do wywrotki, czarny kot, najstarszy chyba z całej trójki.

– Buhaj? – zdumiał się Kwoka. – Co to jest?

– Ty mnie, kurwa, o nic nie pytaj – wywarczał kwokowy kompan. – Wsiadamy na konie i wypierdalamy stąd.

Słyszając tak prostacki język, księżniczka zmarszczyła brwi.

– Ale myśmy mieli właśnie z panem Kwoką grać w grę – oznajmiła. – I bardzo dobrze, że przyprowadziłeś waść babuleńkę...

– Zamknąć się! – powtórzył z buhajowych pleców babsztyl. – A ty, złotko, jak powiesz jeszcze jedno słowo, zamienię cię w ropuszysko, całe pokryte strupami!

Księżniczka aż klasnęła w dłonie uciechy.

– Czarownica! – zawołała uradowana – Jak dobrze! A powiedzcie mi, droga pani czarownico, czy wy jesteście... kum?

I pognąła żabimi susami za najbliższą muchą.

– Nie jestem żadna czarownica, tylko normalna Baba Jaga – oznajmiło babiszcze. – I nie wsiądę na żadnego konia. Całe życie latałam na miotle, aż ten tutaj hultaj mi ją połamał. I nigdy nie wsiądę na bydłatko, żeby je męczyć. Zrozumieli? Co tak japy porozdziawiali?

– Księżniczka! – jęknął Kwoka. – Na wszystkich bogów, nasz zarobek!

– Irytowała mnie.

– Ty durna babo, to nasze pieniądze! – wrzasnął zmieniony chwilowo w wierzchowca Buhaj. – Jak oddamy księciu pieprzoną żabę, nic nam nie zapłaci!

– Znowu chce być żukiem gnojakiem? – zmarszczyła brwi Baba Jaga.

– Mości babo jago – pospieszył z ratunkiem Kwoka. – Nikt tu się nie chce w nic zamieniać. Rozumiem, że mój towarzysz nabałaganił nieco...

– Nabałaganił, phi! – parsknęła Baba Jaga. – Przyłaził na moją polankę jakby go tam kto prosił. Zamiast grzecznie zostawić zapłatę i czekać, aż przylecę, przetrącił tym swoim mieczyskiem nogę domku na kurzej stopce, który słusznie ruszył bronić prywatnej własności, połamał kije samobije, niebożątka moje, i jeszcze mi strzaskał moją miotłę, gdym na niego pikowała, na pomoc moim sługom. Trzeba przyznać, kawał junaka! – mlasnęła, aż się Buhaj wzdrzygnął. – Ale teraz musi mnie do miasta, na targ zanieść, żeby mogła sobie nową miotłę kupić i nową kurzą nogę dla domku sprawić. I zapłacić za to musi! – Zmarszczyła groźnie brwi. – A jak nie, znowu będzie żukiem!

– Tak też oczywiście i uczynimy. – Pospieszył z przytaknięciem Kwoka, który też się w nic nie chciał zmieniać, a już najmniej w żuka. Kątem oka spostrzegł, że kot Baby Jagi skrada się ku zajądającej muchy księżniczce. – Ale żebyśmy mieli pieniądze na solidne nogi i czego wam tam jeszcze, matko, potrzeba, niezbędna nam nagroda za odnalezienie księżniczki. A jak ją przywieziemy w formie żaby, to nie pieniądze, ale kije możemy dostać w nagrodę. Wieź księżniczkę zmienioną w żabę też się nie godzi, bo się jeszcze dziewczuszka obrazi i ojcu na nas naskarzy.

– No dobra. – zachmurzona czy nie, zgodziła się Baba Jaga. – Tylko niech mi się złotko nie odzywa.

– Odczarujecie ją?

– A tam ja! Chłopa jej trza. Niech ją złapie i pocałuje, to się zaraz odmieni.

– A nie musi to być książę?

– Gdzieżby tam książę, wiejskie bajdurzenie! Przynajmniej raz na tydzień jaką niezgułę w żabę zmieniam, skąd by się tylu książąt wzięło, żeby je poodmieniać? Niech ją łapie i całuje, i ruszajmy, żeby jak najszybciej na targ zdążyć.

Kwoce udało się uprzedzić kota. Porwał księżniczkę na ręce i pocałował bez chwili zwłoki. Nie czuł żadnych oporów, zdarzało mu się już całować kobiety różnej urody. Bał się tylko trochę, żeby księżniczka nie opowiedziała potem ojcu, że ją w lesie wykorzystali.

– Zadowolony? – zazgrzytała po swojemu Baba Jaga. – To niech ją na konia, biedne bydłatko, posadzi

i ruszamy.

Kwoka, na którego rękach pojawiła się nieco cięższa od ropuchy, ale dalece od niej piękniejsza księżniczka, zaniósł ją posłusznie i posadził na konia. Sam dosiadł drugiego i ruszyli.

– A niech się złotko nie odzywa! – ostrzegła Baba. Księżniczka kiwnęła potulnie głową, wypluwając dyskretnie resztki muszowego skrzydełka.

Dopiero kilka minut później zbliżyła się do Kwoki i gestem dała mu znać, by się ku niej przychylił.

– Właściwie powinien być to książę – wyszeptała. – Ale nic to, ojciec waści odpowiedni tytuł nada i wszystko będzie tak, jak być powinno.

– Znaczy, co będzie? – zaniepokoił się Kwoka.

– Wedle obyczaju. Kto księżniczkę z czaru pocałunkiem uwolni, ten jej mężem będzie – oznajmiła poważnie księżniczka. – Mójżeś ty, rycerzu, na zawsze. A jam twoja.

I podała mu złoto haftowaną chustę, domagając się, by przewiązał ją sobie wokół ramienia.

Zdumiony Kwoka chustę i owszem wziął, musiała być sporo warta. Zaraz jednak dotarło do niego, z czym się to wiąże. Spiął konia ostrogami i podjechał do prowadzącego grupę kompana.

– Buhaj! – zawołał – To przestaje być zabawne!

– Niech cichną! – syknęła na niego Baba Jaga. – I niech nie dręczą bydlątek!

3.

Ruiny zamku, w których zatrzymali się na noc, zamieszkane były przez bandę zbójów. Nim Buhaj z Kwoką zdążyli wyładować na nich frustracje, Baba Jaga pozamieniała wszystkich w żuki. Ich rzeczy tknąc nie pozwoliła.

– To taka zamiana na dobę – wyjaśniła, nie zważając na wściekłe spojrzenia przyjaciół. – Zbójnicy też mają swoje miejsce w świecie i nie będą świata ich pozbawiać, to nie moje rzemiosło.

– Owszem, to nasze rzemiosło – przyznał Kwoka. – I wolałbym, żeby mi się nikt do niego nie mieszał.

– Możemy ich jeszcze... eee... rozdeptać – zaproponował bez zapału Buhaj, przyglądając się gromadce żuków krzątających się wokół wielkich obecnie jak góry pakunków z łupami.

– To nie po rycersku! – zaprotestowała księżniczka uwieszona ramienia Kwoki. – Prawda, mój miły?

– I niby co to za radocha? – zgodził się jej miły, krzywiąc się niemiłosiernie.

Dopadli zbójników, gdy ci kończyli właśnie opiekąć sporego dzika. Przeciw takiemu skorzystaniu z rozbójniczej gościnności Baba Jaga nie miała nic. Przeciwnie, odkroiła najlepszy kawał mięsa, podzieliła go równo między kota, srokę i siebie. Doprawiwszy swoją część ziołami, zajęła się z zapalem konsumpcją. Buhaj i Kwoka wzorem sroki i kota podarowali sobie zioła. Księżniczka natomiast, ostrożnie, bo ostrożnie, poprosiła Babę Jagę o przyprawy.

– Będę trzymał całą noc wartę – zaofiarował się po kolacji Kwoka, byle tylko uniknąć towarzystwa księżniczki. Co innego wychędożyć taką, ale zaręczać się z nią... Zwinęła mu już największy i najpiękniejszy pierścień, twierdząc, że tylko on nadaje się na dar zaręczynowy. Cała sprawa zaczynała stawać się coraz mniej opłacalna.

– Posiedzę trochę z tobą – zaofiarował się Buhaj.

– Byle nie za długo! – ostrzegła Baba Jaga – Chcę, żeby był jutro rączy!

Wymościł postania, każdy dla swojej pani, i zasiedli przy ogniu.

– Kurwa żesz nasza mać – westchnął z niewysłowioną ulgą Kwoka, bo mu już bokiem wychodziło to uprzejme gadanie.

– Ja pierdole – zgodził się Buhaj, który w ogóle nie lubił strzepić języka po próżnicy. Współczuł więc tym bardziej przyjacielowi. Jego samego przynajmniej Baba Jaga nie zmuszała do ciągłego rozmawiania. Prawda, że i księżniczka nie trafiła na milczka. Buhaja fascynował dar wymowy Kwoki. Ten, nie dorównujący mu przecież urodą spryciarz, zawsze tak potrafił zagadać kobiety, że koniec końców lądowały w jego łóżku najpyszniejsze, chociaż z początku bardziej podobał im się on – przystojniacha Buhaj. Niby to Buhaj pierwszy miał je wszystkie, za każdym razem, okazywało się, że na dłużej wołały przestawać z Kwoką. Potrafił się Kwoka wyłgać z najbardziej niezręcznych sytuacji, rozmawiać z każdym w jego języku – z moznymi jak moźny, z ciurami jak ciura, a z Buhajem krótko i rzeczowo, po buhajsku.

Księżniczki mu jednak Buhaj nie zazdrościł.

– Zajebista dupa – spróbował pocieszyć towarzysza. – Młoda, a cyc już wyraźny i tyłek...

– Daj spokój – westchnął Kwoka, dorzucając do ognia.

– I znaczny będziesz, księciem zostaniesz. Kłaniać ci się będą, może mnie nawet zatrudnisz?

– A w mordę chcesz?

– Już się ważny robisz?

– Ożesz by cię...

Już, już prawie miało dojść do przyjacielskiej bójki, która i nerwy potrafi ukoić, i przyjaźń wzmocnić, i o kłopotach minionego dnia pozwala zapomnieć, kiedy coś nagle w ogniu huknęło i z płomieni wyskoczył upiór.

– Jestem duchem tego zamczyska! – oznajmił grobowym głosem.

Spleceni w przyjacielskich zapasach Buhaj i Kwoka spojrzeli na niego z irytacją.

– Wypierdalaj – rzucił przystojniacha. – Chcemy mieć choć chwilę dla siebie.

– Zacni zbrojeńcy – odezwał się duch, najwyraźniej niewłaściwie interpretując ich uściski. – Miło mi gościć, dla odmiany po zbójcach, nawet gości o tak niezwykłych upodobaniach. Jednakże, niestety, nie przybywam jako dobry gospodarz, lecz jako posłaniec. Oto przysyła mnie do was z posłaniem mag Vidoczek, któremuście na drodze niebacznie stanęli, brankę mu porywając.

– Ty z nim gadaj – westchnął Buhaj. – To znowu jakiś poeta.

– Nikogośmy nie porywali – odpowiedział zmęczonym głosem Kwoka. – Napadło na nas jakieś bydło, strzały poniszczyło. A księżniczka siedziała w trawie. Znaleziona, nie kradziona.

– Wielki mag Vidoczek rozumie to i gniew swój powściągnął – odparł duch. – Wybaczy wam, jeśli zawrócicie i księżniczkę do jego wieży, miast do ojca zawieziecie.

– A co z tego będziemy mieć?

– Żywi ujdziecie – odparł po chwili zastanowienia duch.

– Toś chyba ochujał – nie wytrzymał Buhaj, zapominając, że pozostawił negocjacje w rękach kompana.

– Propozycja wydaje się mało kusząca – pospieszył z tłumaczeniem Kwoka.

– Zapewniam was, że śmierć to nic przyjemnego – spróbował targów duch. – Pamiętam, jak sam byłem żywy... A teraz gniję w ziemi od ponad trzech stuleci i jedynie moc maga Vidoczka przywołała mnie z powrotem do świata żywych. Powiadam wam, oddajcie magowi dziewczynę albo spotka was los gorszy od mojego!

Kwoka spojrział na Buhaja. Ten, jak należało się spodziewać, pokręcił głową.

– Nic z tego nie będzie. Dziewczyna trafi do ojca, a czarodziej, jak chce, niech ją sobie znowu porywa.

– Strzeżcie się mocy Vidoczka! – zaniósł się wyciem duch. – Nie wiecie, co was czeka! Nikt wam za dziewczynę nie podziękuje, zobaczycie!

– Przekaż mu, żeby przemyślał ofertę – zniecierpliwiał się Kwoka. – A teraz spadaj albo obudzimy naszą przyjaciółkę, a ona zamieni cię w żuka.

Groźba najwyraźniej okazała się skuteczna, duch bowiem zafalował i zniknął.

Przyjaciele przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Ja mówiłem, wszystkie czarowniki to ścierva – odezwał się wreszcie Kwoka. – Mógłby zaproponować złoto, ale nie: dajcie pannę albo was pozabijam.

– A jakby dał złoto, to co, narzeczoną byś sprzedał? – zaryzykował Buhaj.

– Ty, daruj sobie!

– Niech się łaskawy książę nie unosi...

Łaskawy książę uniół się jednak i wokół ogniska zaraz się zakotłowało.

* * * * *

– Coś mnie ominęło w nocy? – odgadła Baba Jaga przy śniadaniu, przyglądając się podbitemu lewemu oku Buhaja i prawemu Kwoki.

– Byłabyż w nocy bitwa? – zachwyciła się księżniczka. – Bitwa, w której ukochany mój dzielnie stawał wspomagany przez ramię jego dzielnego przyjaciela?

– Ukochany? – Uniosła krzaczastą brew Baba Jaga. – Złotko, jeśli lecisz na mojego wierzchowca...

– Mym wybranym jest mój wybawca, któren mnie od czaru złą... ehem... od czaru uwolnił – wyjaśniła księżniczka.

Baba Jaga łypnęła po swojemu na Kwokę i zarechotała.

– Znacie, matko, maga Vidoczka? – zmienił temat Kwoka.

– Coś słyszałam – sposepniała. – A co?

– Ów zły czarnoksiężnik z domu ojca mego mnie uprowadził – odpowiedziała księżniczka, nim Kwoka zdążył ją powstrzymać. – Zniewolić mnie chciał i pojąć, a może nawet w zabiegach magicznych wykorzystać – chlupnęła.

– No zesz! – zdenerwowała się Baba Jaga. – Czemu patafiany niemyte nie powiedzieli mi, że mają z Vidoczkiem na pieńku?

– Nie było okazji – bąknął Kwoka. – Czyżbyście byli przyjaciółmi?
– Czort mu przyjacielem, nie ja! – Babiszczę splunęło w dogasający ogień. – Ale staram się nie wchodzić mu w drogę. Strasznie się wpakowali, że z nim zadarli! A złotko...- westchnęła. – Smutny los złotka, bo Vidoczek nie zapomina i nie darowuje...
– A nie mogłabyś go, matko, zamienić w żuka?
– Niech mnie nie rozśmiesza! – fuknęła. – Zamienić maga? Gdzie mi tam starej, do niego... No! – Wstała.
– Czas już na nas, nie marnujmy dnia. Do miasta już niedaleko, spróbujmy dotrzeć do niego, nim Vidoczek patałachów pozabija!
Podniósłszy ich w ten sposób na duchu, zmusiła szturchańcami Buhaja do porzucenia posiłku i zgrabnie wskoczyła mu na plecy. Nie oglądając się na pozostałych, ruszyli czym prędzej, a z nimi bardzo coś zadowoleni z siebie kot i sroka. Z pyska i z dzioba wystawały resztki chitynowych pancerzyków. Księżniczka stała obok buhajowego konia dziwnie smutna i posepna.
– Niewyspanaś panienko? – zagaił z wysokości siodła Kwoka. – A może chcesz iść na stronę?
Potrząsnęła złotą główką.
– Nie oddasz mnie, Vidoczkowi, miły? – zapytała, a złota łza spłynęła jej po policzku.
Kwoka miał już odpowiedzieć, że za darmo na pewno nie, kiedy przyszło mu do głowy, że taka odpowiedź mogłaby podsunąć księżniczce myśl o ucieczce.
– Oczywiście, że nie! – zawołał więc zuchwale. – Co mi tam jakiś czarodziej! A bo tośmy z Buhajem raz albo dwa z czarodziejami tańcowali...
Urwał, bo księżniczka chwyciła go z kraj kaftana, pociągnęła zaskakująco silnie ku sobie, omal nie zwalając z konia, objęła, pocałowała w policzek i odbiegła do swojego wierzchowca, cała zarumieniona, ale uśmiechnięta.
Kwoka wyprostował się w siodle oniemiały. Pamiętał, jak raz kiedyś, Raśka, młynarzówna...
Splunął na te wszystkie baby i pognał konia, bo już Baba Jaga dała się z podzamkowej drogi, żeby się, z łaski swojej, pospieszyli, jeśli nie chcą, żeby ich pozamieniała w chrabąszcze i ropuchy.
Dwa, cudem ocalałe, żuki odprowadzały go niezyczliwymi spojrzzeniami.

4.

Stolica prowincji, miasto Barozek, mogło wprawiać w zakłopotanie przyzwyczajoną do leśnej głuszy Babę Jagę, nie zachwyciło jednak Kwoki i Buhaja. Znaczną część mieściny zajmował nieregularny kształtem rynek, opanowany przez stragany, na których lokalni rzemieślnicy toczyli niekończącą się wojnę o lepsze miejsca z przybyłymi spoza miasta rolnikami i hodowcami. Księżniczka zabawiła chwilę w jego wschodniej części, przy stosikach z drewnianą biżuterią, Buhaj z Kwoką poświęcili nieco czasu wyrobom miejscowych zbrojmistrzów i kowali, jednak Baba Jaga ciągnęła ich niestrudzenie ku południowym uliczkom rozrastającym się koślawo w cieniu coraz mniej murowanych kamienic. Po nich właśnie rozpełzły się stragany sprzedawców, których na rynku widzieć nie chciano – drobnych handlarzy oszczędzających na opłatach placowych, samodzielnych i nie należących do żadnego cechu. To o ich zarobki dopominali się nędznie ubrani miejscy rozbójnicy, podejrzane typki o szybkich nożach i rozbieganych, acz potrafiących skupić się na jedną, groźną chwilę, oczach. Jednego z nich wypatrzyła księżniczka, w chwili gdy tarosił zalegającą z opłatami staruszkę.
– Mój miły, chyba nie będziesz beczynn timer przyglądał się, jak ten niegodziwiec znęca się nad bezbronnymi! – zakwiliła.
Kwoka, który akurat odganiał gromadę dzieciaków próbującą ulżyć ich koniom i odciążyć juki, posłał jej zdziwione spojrzenie. Wskazała mu osiłka dręczącego starszą panią.
– Na jadło kruków! – zawołała Baba Jaga. – On dręczy handlarke najlepszymi wierzbowymi miotłami!
Kwoka zdecydował się działać, nim dosiadające jego kompana babiszczę zacznie się przerabiać miejscowy półświatek na stado żuków, co zdecydowanie zwróciłoby na nich powszechną uwagę. Podjechał od tyłu do osiłka i niedbale trącił stopą jego głowę. Powtórzył trącenie jeszcze trzykrotnie, zanim jego ofiara zorientowała się, że to nie przypadkowi przechodnie mijają go tak niezręcznie.
– Puść panią – poprosił, pozornie łagodnie. – Zamierzamy zrobić u niej zakupy.
– Zróbcie gdzie indziej – warknął typ o szerokiej szczęce, jasnych włosach i niebieskim spojrzeniu. – Ona właśnie zamyka. Na zawsze.
Zarechotał ochryple a złowieszczo.
– Ujmę to inaczej – odezwał się Kwoka, pochylając się w siodle. – Wypierdalaj stąd, chujku, zanim wyrwę ci te ziarenka udające jaja i nakarmię nimi tamtego kota.
Księżniczka syknęła z potępieniem, nieprzyzwyczajona, by jej narzeczeni wyrażali się w ten sposób.

Jeśliby ktoś jednak przyjrzał się jej bliżej, mógłby dostrzec ślad uśmiechu na złotych ustach. Buhaj natomiast, który z lubością wsłuchał się w bliski sobie język, wyszczerzył zęby szeroko i z ukontentowaniem.

Nie uszło to uwadze blondyna. Ktoś, kto taszczy na plecach staruszkę nie powinien sprawiać groźnego wrażenia, Buhajowi jednak jakimś cudem się to udawało.

– Jeszcze zobaczymy – warknął więc blondyn i z niebywałą wprawą zniknął w tłumie, ku rozczarowaniu kota.

– Matko Gorito! – zawołała z wysokości buhajowych pleców Baba Jaga, po raz pierwszy uśmiechając się szeroko. – Jak dobrze cię widzieć!

– Baba Jaga! – odpowiedziała radosnym, choć bezzębnym uśmiechem sprzedawczynie mioteł. – Co za radość! Co to, czyżbyś już tak szybko zużyła swoją miotłę?

– Matoł, na którym siedzę, mi ją zużył – odparła Baba Jaga. – Kupię u ciebie od razu dwie, na zapas. Powiedz temu z różnymi oczami, ile sobie liczysz, a nie oszczędzaj, to szlachetny pan, dobrze się żeni, stać go.

Księżniczka zachichotała zakłopotana i zarumieniła się, tym śliczniej, że nie na złoto.

– Szlachetny panie! – Ukłoniła się reumatycznie Gorito. – Toż wyście mi życie uratowali! Musiałabym być bez serca, żeby kazać wam jeszcze płacić za moje liche miotły...

– Nie sprzedaj mu lichych, tylko najlepsze. – Zgasiła zrzędliwie uśmiech na twarzy Kwoka Baba Jaga. – Zapłaci. Jeśli nie tobie, mnie jest to winien.

– Właściwie, to życie żeście mi uratowali jeno na chwilę, bo wy wyjedziecie, a oni jeszcze wrócą – przypomniała sobie handlarka. – Dajcie za dwie pół grosza i będziemy kwita.

– A żeby nie był obrzezany! – upomniała Baba Jaga.

Kwoka uśmiechnął się do niej krzywo, ale zapłacił, choć był to rozbój w biały dzień.

Matka Gorito ukryła pieniądze w mieszkach schowanym tam, gdzie, wzięwszy pod uwagę jej wiek, niewielu sięgałoby chętnie i uśmiechnęła się serdecznie, a bezzębnie.

– W takim razie pozwólcie, że zaproszę was choć na obiad. Skromny, ale robiony ze szczerego serca.

– Mamy trochę własnej dzicyzny – pochwaliła się Baba Jaga.

– Wspaniale! – klasnęła matka Gorito i zaczęła składać stragan. Kwoka i Buhaj pomogli jej, poganiani przez wrzaski Baby Jagi i wymowne spojrzenia księżniczki.

– Powinniśmy wprawdzie jak najszybciej udać się do burmistrza – tłumaczyła Kwoce w drodze do domu matki Gorito. – Jednak nie wypada odmawiać szczeremu zaproszeniu. Poza tym muszę ci się przyznać, mój miły, że podoba mi się to bratanie z gminem.

W drodze kupili jeszcze tuzin kurzych nóg, choć Baba Jaga długo grymasiła, nim znalazła takie, które uznała za zadowalające. Wreszcie dotarli do maleńkiej, drewnianej chatynki opierającej się o większy, z grubsza kamienny dom, przyklejony do wewnętrznej części murów miejskich. Wchodząc do środka, księżniczka zmarszczyła śliczny nos.

– Nie miałam pojęcia, że ludzie mogą żyć w takich warunkach – wyznała szeptem Kwoce.

– Znam takich, którzy żyją w znacznie gorszych – mruknął.

– Cóż, mam nadzieję, że nie zaprosisz ich na nasz ślub. Bratanie bratanie, musimy jednak zachować jakieś granice...

Matka Gorito wspólnie z Babą Jagą zakrzętały się przy kuchni. Podawały misę czegoś nieokreślonego, ale apetycznie pachnącego, gdy z hukiem otworzyły się drzwi i do ciemnego wnętrza wpadł z impetem sześciolatek chłopiec.

– Matko Gorito! Matko Gorito! – zatrzymał się gwałtownie, bo Kwoka i Buhaj zareagowali po swojemu: wyciągając miecze i kierując je ku źródłu hałasu.

– Ach, Piórko, urwisie! – zawołała handlarka miotłami. – Nie wyobrażacie sobie, jak wyczulonym węchem obdarzony jest ten chłopiec! Wystarczy, że zacznę gotować, a zaraz przybiega!

– Zupełnie jak mój kot. – Pokiwała głową Baba Jaga. – Bo poza tym całymi dniami gania po za domem.

– Nie bój się, chłopcze, ci panowie nic ci nie zrobią... – uspokajała chłopca Gorito.

– Oni nie – powiedział, bo właśnie złapał oddech. – Ale banda Popłocha idzie tu skrzywdzić ciebie, matko! Piękniś Borko doniósł Popłochowi, że zamiast płacić jemu, wynajęłaś dwóch ochroniarzy. Idą policzyć się z tobą i z nimi. Przybiegłem tu, żeby cię bronić, matko! Psotek pobiegł już po pomoc, musimy się utrzymać do przybycia Szczurzej Bandy, przyjdą tu wszyscy, zobaczysz!

– Jacy dobrzy chłopcy! – wzruszyła się matka Gorito, której dobre serce kazało nie tylko dokarmiać bezdomne sieroty, jakich mnóstwo kryło się w mieście, ale także pośredniczyć w handlu wszystkim, co ich bandzie udało się ukraść.

– Pozamieniam ich wszystkich w ropuchy! – rozeźliła się Baba Jaga.

Buhaj i Kwoka wymienili spojrzenia.

– Wypełniliśmy swoje zobowiązania i nic już nie jesteście wam winni – odezwał się do Baby Jagi Kwoka. – Pozwólcie jednak, że w ramach podziękowania za poczęstunek, rozwiążemy za was ten problem. W waszym wieku nie powinniście się nadwerężyć.

– Za cholere! – poparł go entuzjastycznie Buhaj.

Baba Jaga przyglądała im się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Tylko uważaj na siebie! – zawołała za wychodzącym Kwoką księżniczka.

Przed chatką matki Gorito gromadzili się już ludzie Popłocha. Prowadził ich sam herszt, za którego plecami krył się Piękniś Borko.

– Będzie ze dwudziestu – policzył Kwoka.

Buhaj uśmiechnął się szczęśliwym, szerokim uśmiechem.

– Tegom chciał – sapnął. – Tegom chciał.

Ruszyli ku zbójom.

Popłoch, potężnie zbudowany rudobrody mężczyzna, uzbrojony w sprawiającą groźne wrażenie drewnianą, ale nabijaną kawałkami żelastwa maczugę cofnął się o krok.

– To ci? – zapytał blond-włosego Pięknisia.

– Ci sami, szefie.

– Hej, wy dwaj, stójcie! Oddajcie broń i wszystkie pieniądze, jakie macie przy sobie, a spuścimy wam tylko lekki wpierdol i pozwolimy odejść. To miasto to nie wasza sprawa. Nie warto ginąć za jakąś starą babę.

– Nie przeczę – odparł Kwoka. – Ale też nie przyszedłem do was ginąć, ale dla rozrywki.

– Bierzcie ich! – rozkazał Popłoch.

I zaczęło się.

Buhaj, rycząc z ulgi i radości, wpadł między pierwszych trzech zbirów, roztrącił ich i pognął ku Popłochowi. Ten schował się za czterema innymi. Uzbrojeni byli jedynie w grube i długie kije, ale też umieli się nimi posługiwać.

Kwoka, który preferował mniej bezpośrednią taktykę, kopnął pierwszego swego przeciwnika między nogi, odskoczył na bok, by zająć się tymi, których roztrącił w pierwszym starciu Buhaj, a którzy jeszcze nie zdążyli się podnieść. Ledwie z nimi skończył, kątem oka dostrzegł, że jego kompan ma kłopoty.

Podczas gdy fechtował z czterema gwardzistami Popłocha, kilku innych zachodziło go od tyłu. Kwoka ruszył mu na pomoc, jednak i jemu drogę zagroziło trzech kolejnych zbirów. Bez trudu ściął pierwszego z nich, który, uzbrojony jedynie w solidny rzeźnicki nóż, nie zdążył się zasłonić. Odepchnął drugiego, ściskającego w rękach w pałkę i starł się z trzecim, zaopatrzonym w marny, bo marny, ale miecz.

– Buhaj! Za tobą! – zawołał.

– Powinniśmy walczyć oparci o siebie plecami – wrzasnął zirytowany Buhaj, odwracając się i w ostatniej chwili parując zdradziecki cios.

– Jakbyś się tak do nich nie spieszył, to może by się nam udało – odrzyknął Kwoka. Wybił miecz przeciwnikowi, pchnął go w pachwinę i ruszył w stronę Buhaja. Ciasnota uliczki spowalniała jednak i jego, zaledwie zrobił dwa kroki, już miał przed sobą uśmiechającego się paskudnie Pięknisia Borko.

– Znudziły ci się jajka, blondasku? – warknął, atakując.

W innych warunkach Borko być może odskoczyłby zwinnie, tu jednak jego cofnięcie przerwały w połowie resztki beczki. Zachwiał się i ostrze kwokowego miecza przejechało mu po żebrach. Krzyknął z bólu, a na Kwokę rzucił się już jego podwładny.

– Boję się o nich – szepnęła obserwująca walkę księżniczka.

– Czemu? Walczą jak demony, ci tutaj to dla ich żadni przeciwnicy. – Uśmiechnęła się krwiożerczo Baba Jaga. – Ech, junaki, gdybym była młodsza...

– Ale tamtych jest tak wielu! Nie mogłabyś choć połowy pozamieniać w żuki?

– Nie bójcie się, panienko – pospieszyła z słowami otuchy matka Gorito. – Spójrzcie, siły się wyrównują!

– Hurra! Szczurza Banda! – zawołał Piórko ciskający przez cały czas kamieniami w zbirów, choć z różnym skutkiem. – Spójrzcie na dachy łazęgi! Spójrzcie na dachy!

Nikt z walczących nie usłyszał go wprawdzie, jednak kiedy na zbirów posypały się kamienie, nie mogli powstrzymać się przed chociaż zerknięciem w górę.

A tam, prowadzone przez ubranego w pstrokate ciuszki dwunastolatka, usadowiły się wszystkie sieroty, jakie tylko zasiedlały Barozek. Brudni chłopcy w potarganych ubraniach, zadziorne i nieco czystsze dziewczęta – cała Szczurza Banda obsiadła okoliczne dachy i ciskała w zbirów Popłocha czym kto miał –

kamieniami, kawałkami drewna, przegniłymi owocami, łajnem i błotem. Co śmielsi zeskakiwali na ulicę i, krążąc na pograniczu pola walki, kłuli zbirów po nogach własnoręcznie skleconymi kozikami lub kradzionymi skąd tylko się dało nożami.

– Za matkę Gorito! – wołali – Za Szczurzą Bandę!

Chłopiec, który pod względem pstrokacizny przebrania mógł śmiało rywalizować z Kwoką, nie walczył, lecz przyglądał się bitwie uważnie z góry. Co jakiś czas chwycił za ramię jednego z swych poddanych i wskazywał mu coś w kłębowisku ciał. Zaraz też biegli we wskazanym kierunku członkowie Szczurzej Bandy i zawsze okazywało się, że leży tam jakiś pozbawiony przytomności zbir, którego można i należy okraść ze wszystkiego, co ma na sobie, nie wyłączając ubrania, zanim zrobią to jego konfratry.

Wtem ponad odgłosy walki przedarły się dźwięki trąbek i wszyscy, poza Kwoką i Buhajem, zamarli na moment.

– Straż! – zawołał ktoś. – Straż miejska!

I nagle, w mgnieniu oka, zniknęli wszyscy, którzy mogli utrzymać się na nogach. Tylko Buhaj i Kwoka zostali na pobojowisku, zasapani, pokryci cudzą krwią, zwycięscy i nie mający dokąd uciekać.

Jakoś spotkali się podczas walki i teraz stali wsparci o siebie plecami.

– Słyszałeś? – odezwał się Kwoka. – Straż!

– I dobrze – mruknął Buhaj. – Słabi byli ci zbójce.

– Hej! – krzyknął na nich ktoś z góry.

Poderwali głowy i dojrzeli przyglądającego im się z dachu uśmiechniętego malca. Kwoka odniósł dziwne wrażenie, jakby patrzył na mniejszą i młodszą kopię samego siebie.

– Ukłony od hetmana Szczurzej Bandy – zawołał chłopiec, zerwał z głowy fantazyjny, zdobiony kogucimi piórami kapelusz i ukłonił się. – Dzięki za pomoc matce Gorito! Jeśli będziecie kiedy czego potrzebować, Szczurza Banda zawsze udzieli wam pomocy!

Uśmiechnął się raz jeszcze i zniknął.

– Jakiś twój syn? – zainteresował się Buhaj.

– Pierwszy raz jestem w tym mieście!

– Mógł przyleźć za tobą z innego miasta.

– Niby z kim miałbym mieć tego syna, kiedy ty bierzesz wszystkie panny?

– Narzeczonej ci nie wzięłam.

– Ty, wesolek, uważaj...

– Hej, wy dwaj! – Kapitan straży przerwał im nim wzięli się za łby. Jego ludzie wkroczyli na uliczkę z obu jej stron, wcisnęli się nawet w wąskie szczeliny między zrujnowanymi domami. – Złóżcie broń i chodźcie z nami po dobroci. Odpowiedcie przed burmistrzem za tę jatkę!

– Tych mogę zamienić w żuki – mruknęła Baba Jaga. – Chociaż niechętnie, bo będę musiała się wynieść z okolicy.

– Patrz, Buhaj, następny, który chce naszej broni – zawołał Kwoka.

– Rycerzyk – prychnął Buhaj i splunął.

Kapitan straży zmarszczył brwi i dał znak swoim ludziom.

– Nie trzeba! Stójcie! – Księżniczka wybiegła na ulicę i zastąpiła sobą Kwokę. – Jestem Melidranna z Borsuczej Kniei. Córka Alandora, pana na Czarnej Pięści, księcia Barozek i Urhun i pani Orietty, jego małżonki, wiły. Nie ważcie się tknąć tych dwóch szlachejnych rycerzy, którzy wybawili mnie z rąk maga Vidoczka i którzy zasługują na wszelkie względy!

Kilku strażników miejskich roześmiało się. Istotnie, dwa dni przebywania w towarzystwie Kwoki i Buhaja, a jeszcze i kilka dni tułaczki wcześniej, odcisnęły piętno na wyglądzie księżniczki. Jej złota suknia była przybrudzona i w wielu miejscach porwana, zaś w uczesaniu trudno było rozpoznać kunsztowną fryzurę. Znacznie bardziej niż pannę szlachejnego rodu, przypominała młodocianą ulicznicę.

– Głupcy! – zawołała, widząc, że jej poprzednie słowa nie zrobiły na nich stosownego wrażenia. – Czyż stan mych szat zakrył przed wami prawdę? Spójrzcie oto na kolor mej skóry, azaliż nie mówi wam o mnie więcej niż zniszczone szaty i klejnoty, których mnie pozbawiono?

Kapitan straży zmarszczył brwi.

– Stać! – Wstrzymał swoich ludzi.

Zsiadł z konia i podszedł do księżniczki. Chwycił ją za rękę i potarł mocno skórę na dłoni. Kiedy złoty kolor nie ustąpił, zbladł i padł na kolana.

– Wybacz, pani! – zawołał – Nic nie wiedzieliśmy o twym zaginięciu, ojciec wasz oznajmił, żeście wyjechali do zamorskiego księcia...

– O co chodzi z tą jej skórą? – zapytał szeptem Buhaj.

- Myślałem, że jest pomalowana – odparł zdumiony Kwoka.
- Żesz kurwa, stary!
- No.

5.

Muł, obładowany jukami wypełnionymi złotem i srebrem, przeżuwał w skupieniu kawał trawy i przyglądał się uważnie swojemu odbiciu w wodzie. Coś mu nie pasowało. Najpewniej chodziło o srokę, która przysiadła na mulej głowie, musiał to jednak dokładnie przemyśleć, by zyskać pewność. Buhaj i Kwoka wylegiwali się na miękkiej, świeżej trawie, ciesząc się słońcem i winem. Buhaj cieszył się jakby bardziej.

Minęły cztery dni, odkąd zabrano ich na ratusz, wykąpano, przyodziało odświętnie, wypłacono sowitą nagrodę i czym prędzej wyprawiono w dalszą drogę. Księżniczki przez ten czas nie zobaczyli, nie zdążyli się nawet pożegnać, choć Kwoka, ku zdumieniu Buhaja, bardzo o to zabiegał. Odjechali niedaleko od miasta, ale pomimo namów Buhaja, nie ruszali dalej.

– Myślałby kto, że ci za nią tęskno – odezwał się Buhaj, bardzo nieswojo czując się w sytuacji, w której mówi więcej od Kwoki.

– Spierdalaj.

– Przecież miałaś jej dość, nie?

– Zamknij się, co?

Buhaj zamknął się posłusznie. Upił łyk wina, spojrzął na niebo, spojrzął na trawę, spojrzął na muła z sroką na głowie, gapiącego się w swoje odbicie. Przyjrzał się dokładniej sroce, coś mu przypominała.

A potem jakaś myśl przyszła mu do głowy, więc się odezwał:

– Pewnie chodzi ci o to, że była złota ta twoja narzeczona, co?

Złoty kolor skóry okazał się być niezwykłym dziedzictwem po matce księżniczki, wile, uwiedzionej przez księcia Alandora za czasów młodości. Podkraść się on, wedle wszelkich zasad, nad jezioro, w którym piękna wiła zażywała kąpieli i ukradł jej szaty, tym samym przymuszając do małżeństwa.

Kiedy po roku urodziła im się córka, magicznym sposobem obdarowana była złotą skórą, która wprawiła w zdumienie cały dwór i wzbudziła pożądanie w wielu sercach. To właśnie z powodu złotej skóry, jak się okazało, uprowadził księżniczkę mag Vidoczek, najpewniej rzeczywiście szykując dziewczynę raczej do eksperymentów niż łożnicy.

– Głupiś – prychnął Kwoka.

– Ja głupi? Ja tam przynajmniej znam kolor skóry wszystkich swoich dziewczyn.

– To nie jest...

– Och, przepraszam jaśnie pana. Naturalnie, to narzeczona, a nie...

Sroka rozdarła się niespodziewanie, wieszcząc przybycie swej pani.

– Oni tak zawsze? – Zaciekawiał się chłopiec stojący nad walczącymi.

– Często – odparła Baba Jaga. – Tak zachowują się mężczyźni, którzy nie mają żon.

– To wdechowo! – ucieszył się Piórko. – Ja też nigdy nie będę mieć żony!

Sroka zaskrzeczała złośliwie i ku niewysłowionej uldze muła, przefrunęła z jego głowy na ramię Baby Jagi.

– Tak myślałem, że znam skądś to ptaszysko – mruknął Buhaj.

– Może byś ze mnie, z łaski swojej, zlął? – wycharczał spod niego Kwoka.

Wstali. Jeden miał podbite lewe, a drugi prawe oko. Piórko przyglądał się im z zachwytem.

– Jak dzieci. – Pokręciła z dezaprobatą głową Baba Jaga. – Na chwilę ich z oczu spuścić nie można!

– Ja się tam o towarzystwo nie prosiłem – odważył się zaryzykować zamianę w żuka Kwoka. –

Myślałem, że pognacie, matko, naprawiać nogę chatce.

– Tak i planowałam – przyznała baba jaga. – Ale przybiegł do mnie Piórko i zawrócił z drogi. Bo się nad kretynami ulitowałam.

– Wielkie dzięki. A co nam dolega, żeś nas pokarała swoją litością? – ryzykował dalej Kwoka.

Buhaj, który pamiętał jeszcze, jak to jest pełzać pod postacią żuka, dał mu ostrzegawczego kuksańca.

– Niech im powie – poleciła Baba Jaga chłopcu.

– Bo to jest tak – powiedział prędko Piórko, który tylko na to czekał. – Myśmy, to znaczy ja i chłopaki, wiecie, Szczurza Banda, podsłuchali, bo my mamy swoich ludzi na ratuszu, normalnie wszędzie, mówię wam, nie ma takiego miejsca, z którego byśmy czegoś nie ukradli! No i myśmy podsłuchali, jak mówił taki znaczny rycerz, chyba hrabia albo takie coś, w każdym razie wielki księcia doradca, że to normalnie nieszczęście, co się nawyprawiało. On tego nie mówił do siebie, tylko do takiej szklanej kuli, w której

mag siedział. To znaczy, nie prawdziwy mag, tylko takie jego magiczne odbicie, bo magowie to tak...

– No, kurwa, nic nie rozumiem! – jęknął Buhaj. – Czy ten mały...

– Cichaj! – warknął na niego Kwoka i Buhaj zamilkł, rozpoznając ten specyficzny wyraz twarzy swego przyjaciela, który zawsze stanowił zapowiedź złota albo kłopotów. A bardzo często jednego i drugiego na raz.

– ... mają, że lubią sobie siebie przez szklane kule posyłać – ciągnął nieprzerwanie Piórko. – No, w każdym razie, oni gadali obaj, a myśmy podsłuchiwali, bo nas akurat kuchcik wpuścił przez kuchnię, żebyśmy trochę jadła nakradli, ale Psotek poleciał po komnatach. Bo chciał sobie jeszcze trochę innych rzeczy poszukać. No to ja za nim i podsłuchaliśmy, jak ci dwaj się zgadali, że to nieszczęście z wami dwoma, ale że i tak się zdarza i trudno, i trzeba rzecz całą powtórzyć. Bo się okazało, że mag Vidoczek wcale księżniczki nie porywał, tylko ją mu sam książę oddał, tylko pod takimi tymi, no... pozorami. Bo książę się drugi raz ożenił i ta jego druga żona to strasznie nie chciała mieć takiej córki ze złota, zwłaszcza że u nas prawo takie, że po ojcu to może córka dziedziczyć. No i ta nowa żona to nie chciała, żeby inne, znaczy nie jej dziecko dziedziczyło. A książę też chciał być dla drugiej swojej żony dobry, to się ugadał z magiem, że mu mag córkę porwie i wcale nawet jej nie szukał, tylko rozgłosić kazał, że za zamorskiego księcia poszła. To i jej nikt nie szukał, tylko wszyscy się cieszyli.

– Tośmy niezły numer księciu wykręcili! – roześmiał się Buhaj. – I jeszcze nam zapłacić za to musiał!

– Tyle, że teraz mamy na karku maga, a i pewnie książę nam wdzięczny nie jest. Trza się wynosić w inne strony. Dzięki wam, matko, za ostrzeżenie. – Ukłonił się Kwoka Babie Jadze. – Bom myślał, że nas przed magiem książęca opieka może chronić, ale widzę, że nas książę dobrze tu wspominać nie będzie.

– Może byś wysłuchał, Kwoka, historii do końca? – warknęła Baba Jaga, łypiąc na niego spode łaba. Nawet sroka na jej ramieniu przekrzywiła irytująco głowę i łypnęła.

Kwoka spojrział pytająco na chłopca.

– Ano, bo z samego rana ogłosili, że księżniczka znowu odjechała do zamorskiego księcia i z samego rana karoca złota ją z miasta uwiozła. Ino nie ku morzu, ale ku wieży maga pojechali – wyjaśnił Piórko.

– No i na zdrowie. – Uśmiechnął się Buhaj. – Może i mag się od nas odczepi, i książę zapomni...

Urwał, bo zaniepokoił go mars na twarzy Baby Jagi. A ona wpatrywała się w Kwokę.

Ten zaś wyglądał, jakby mu kto powiedział, że jest żukiem zamienionym w człowieka i całe jego życie tak naprawdę tylko mu się wydawało.

Buhaj pozwalał, by zdumienie narastało w nim przez czas jakiś. Aż coś zaczął wreszcie rozumieć.

– Kurwa – westchnął. – To, powiadacie, matko, gdzie ta wieża maga?

Baba Jaga tłumaczyła. Kwoka milczał.

A potem wsiedli na konie, obiecując Babie Jadze, że nie będą męczyć bydłatek, i pognali odprowadzani pełnym podziwu spojrzeniem młodego chłopca i czułym starej kobiety.

I jeszcze spojrzeniami dwóch ukrytych w lesie mężczyzn, którzy powrócili już z żuczej postaci i szli teraz ich tropem, przepełnieni pragnieniem zemsty.

Jechali długo w milczeniu, aż wreszcie Kwoka powiedział:

– Dziękuję.

– A, tam. – Wzruszył ramionami Buhaj. – Tylko, jak już się z nią ożenisz, naucz ją, że chłop musi czasem przekląć, bo nie wytrzyma. Żeby mi ona tych kosych spojrzeń nie rzucała za każdym razem jak sobie przeklnę. Bo odkąd żeśmy ją spotkali, to nawet normalnie żeśmy przestali mówić. A co my jesteśmy, jaśnie pany? No, ty prawie tak... Hej, nie teraz, narzeczona ci jedziemy ratować, nie?

I pojechali. Czarny i pstrokaty, jeden z podbitym lewym, a drugi z prawym okiem.